

Wojciech Ligęza, Wisława Szymborska

Przepustowość owiec : rozmowa z Wisławą Szymborską

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (10), 151-154

1991

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Rozmowy

Przepustowość owiec.

Rozmowa z Wisławą Szymborską

Wojciech Ligęza: *O wielu rzeczach mówi Pani niechętnie. O biografii, interpretacji wierszy, wyznawanej teorii poezji. Dalej: o wpływach, inspiracjach, lekturach. I po prostu o tym, jak żyć. Chciałbym zaproponować jako tematy naszej rozmowy: język, jego możliwości nazywania i wyrażania w czasach obecnych oraz — język jako tworzywo poezji. Jak zmienia się zatem w nowej sytuacji historycznej współczesna polszczyzna?*

Wisława Szymborska: Jeszcze tak niewiele upłynęło czasu, że trudno mówić o jakichś zmianach uchwytnych. Co najwyżej o tendencjach.

W. L.: *Jakich dziedzin życia obserwowane przez nas tendencje dotyczą?*

W. S.: Z pewnością wszystkich. Ale zatrzymajmy się chwilkę przy języku „oficjalnym”, którym do niedawna przemawiała polityka, administracja, którego używano w komunikatach, wywiadach, przemówieniach. Tutaj działało jedno prawo: im mniej treści, tym więcej słów. Stąd ta mowa wzdęta do absurdu. Stąd zamiast „w maju” trzeba było koniecznie powiedzieć „w miesiącu maju”. Zamiast „w Krakowie” — „na terenie aglomeracji miasta Kraków”. Zamiast „podczas produkcji” — „w trakcie procesu produkcji”. Itd. Dodatkowym sposobem woalowania wątej treści, albo nawet jej całkowitego braku, było czerpanie ze słownika wyrazów obcych. Stamtąd brano te „profitowania”, „użyteczność”, „produkty półfinalne”. Trzeba było masą słowną wypełnić te kilka minut wypowiedzi. „W ramach procesu kontaktów z naturą artysta odczuwa

cały szereg konkretnych bodźców”... „Przymierzamy się do bardziej elastycznego podejścia na froncie rozprowadzania piwa”... Nie wymyślałam sobie tego, to autentyki. Dzisiaj, słuchając radia, telewizji, mogę stwierdzić, że ten obrzękły język trochę już kleśnie. Ci, którzy naprawdę mają coś do przekazania, mówią zwięźle. To ważne!

W. L.: Ale czy można od razu przewyciężyć stare przyzwyczajenia?

W. S.: Mowa potoczna przejęła bardzo dużo z tej pustej frazeologii. Z wieloletniego osłuchania. Nie mogło być inaczej. Byłam świadkiem, jak stary góral-dorożkarz opowiadał pasażerom o jakiejś „przepustowości owiec”... Frazeologię tę przejęły również ambony z niezamierzonym efektem komicznym. A handel nie tylko przejął, ale z szaleńczą pomysłowością wzbogacił. Pisano o tym bardzo dużo, ja tylko dodam, że kupiłam niedawno „mrożonkę wołowo-mięsną”.

W. L.: Nie sposób nie docenić poezji nazw takich jak „ulicznica zwykła” na oznaczenie miotły. Czy zdrowy rozsądek zwycięży w czasie, kiedy społeczeństwo składa się z samych specjalistów, którzy widzą przedmioty inaczej, niż się potocznie wydaje. Zastanawiam się, czy polszczyzna szybko wyzwoli się z trybutów i dyktatów. Na przykład z dyktatu bylejakiej władzy. Interpretujemy świat zawsze według jakiegoś wzoru. Czy uchwytnie są symptomy zmiany? Czy język, którego używamy, potrafi dać przekonujący obraz tego, co się historycznie zdarzyło?

W. S.: Od tego jesteście wy, badacze literatury.

W. L.: Jeśli można zapytać o przeszłość. Jak określiłaby Pani skażenie poezji komunistyczną nowomową? I jaki był udział poezji w stalinowskim lingwistycznym szaleństwie?

W. S.: Udział niestety znaczny. Poezja dużo lepiej niż proza nadawała się do wygłaszania, agitowania szybciej i skuteczniej. Myślowo nieskomplikowana, językowo też, przeznaczona była do budzenia raczej emocji niż refleksji. Takie były i moje wiersze z dwóch pierwszych tomików. Byłam wówczas głęboko przekonana o słuszności tego, co piszę — ale stwierdzenie to nie zdejmuje ze mnie winy wobec tych czytelników i słuchaczy, na których moje wiersze może jakoś oddziaływały...

W. L.: Ale zamknięty, magiczny krąg języka i wyobrażeń, jakimi się ten język posługuje, to też przecież jakieś doświadczenie. Przekonanych nie trzeba było przekonywać. Odbywała się wtedy licytacja, kto bardziej wierzy doktrynie: poeta, krytyk, czytelnik? Wszyscy sprawdzali się nawzajem...

W. S.: Ba, gdyby nie ten smutek, to poczucie winy, to może nawet nie żałowałabym doświadczeń tamtych lat. Bez nich nigdy bym tak naprawdę nie wiedziała, co to takiego jest wiara w jakąś jedyną słusność. I jak łatwo jest wtedy nie wiedzieć tego, czego wiedzieć się nie chce. I do jakich akrobacji umysłowych można się posunąć przy konfrontacji z cudzymi racjami. Zrozumiałam też, że miłość ludzkości jest uczuciem bardzo niebezpiecznym, bo najczęściej prowadzi do uszczęśliwiania ludzi na siłę. No i wreszcie jeszcze jeden wniosek: że można z tego zaślepienia jakoś się otrząsnąć, że jednak można wyzdrowieć...

W. L.: *A jak to wyglądało później?*

W. S.: W moim odczuciu, co najmniej od października 56 poezja zaczęła oczyszczać się z frazeologii, uodporniła się na nią. Jeśli jej używała, to już w jakimś wyczuwalnym dla czytelnika cudzysłowie. Tu jeszcze mała uwaga — cały czas mówimy o poezji, która przeszła przez socrealizm.

W. L.: *Jeszcze niedawno w oficjalnych sytuacjach i w prywatnym życiu obowiązywały inne kryteria prawdy. W Pani poezji znajdziemy wątki refleksji poświęcone temu schizofrenicznemu rozdwojeniu. „Pisz tak, jakbyś ze sobą nigdy nie rozmawiał i omijał z daleka” — nie ma już potrzeby wypowiedzania takich słów. Ile poezja traci na wyłączeniu z dialogu cenzora i zarządcy kultury? Co na tym zyskuje?*

W. S.: Co traci? Przede wszystkim szansę na sukces wynikający z chytrze przemyconej aluzji. Poeta mrugał do czytelnika, a czytelnik mu odmrugiwał. Dużo wysiłku twórczego szło właśnie na to. A jeśli wiersz był kiepski i tylko z jakichś tam przyczyn zatrzymany przez cenzurę — jakaż to była nobilitacja i dla wiersza, i dla jego autora! Z kolei czytelnik przyzwyczaił się do szukania w wierszu treści ukrytej. Też niedobrze. Pewnego razu, kiedy przeczytałam wiersz *Rozmowa z kamieniem*, ktoś z sali spytał mnie, co miałam na myśli, pisząc o tym kamieniu. Odpowiedziałam, że kamień. Zdaje się, że rozczarowałam pytającego.

W. L.: *Koniec gry z językiem kłamstwa, a także z określonego rodzaju urabianiem sumień ma też strony pozytywne.*

W. S.: Oczywiście, choć myślę, że proza, ta opisująca świat, będzie tu miała więcej do zyskania. Zobaczymy, przecież nowa epoka ledwie się zaczyna. Ale wcale nie jestem pewna, czy poezja aluzyjna zniknie od razu bez śladu. Są nadal wywierane pewne presje, narzucane stereotypy. To, że te presje pochodzą z innych źródeł, a i stereotypy są inne, nie zmienia samego faktu ich istnienia.

W. L.: *Pani liryka odległa jest od polityki. Jeśli już, to utwory poetyckie*

— dyskretnie, niechętnie i nieczęsto — odpowiadają na aktualne sprawy publiczne. Bardziej interesujące, niż fakty, które szybko przemijają, jest towarzysząca im aura społecznej świadomości. Jaką rolę odgrywa w Pani poezji myślenie potoczne?

W. S.: Dość zasadniczą. Żeby skoczyć trzeba wziąć rozbieg, a rozbieg bierze się na ziemi, po której chodzą wszyscy, i ci, co skaczą, i ci, co nie skaczą.

W. L.: *Może zatem nie warto celebrować wielkiej sztuki. Dlaczego nie dowierza Pani świętej, proroczej mowie poezji? Co począć ze słowami uroczystymi, które zostały wykluczone poza obszar Pani praktyki poetyckiej?*

W. S.: W Pana pytaniach tkwi jakby podświadome założenie, że ktoś, kto pisze „po swojemu”, automatycznie chciałby, żeby inni pisali tak jak on. Ależ nic podobnego, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Nie gardzę wielkimi słowami i nie prycham na poetów, którzy potrafią z nich robić artystyczny użytek. Każdy pisze — raczej powinien pisać — zgodnie z własną naturą. Moja jest co nieco kpiarska i stąd ten brak patosu, celebry... To nie premedytacja, nie program wydumany. To po prostu sprawa usposobienia.

W. L.: *Jak przedstawia się samopoczucie poezji we współczesnym „uniwersum mowy”, w czasach bardzo niepoetyckich?*

W. S.: To już byłaby rozmowa na bite osiem godzin z krótką przerwą na „posiłek regeneracyjny”, czyli po ludzku mówiąc — obiad.